

– A co z cenami w restauracjach i sklepach, panie komisarzu? – spytał Wiśniewski.

– Zaraz się przekonamy.

*

W sklepie pachniało egzotyką, chociaż nie był to dyskont kolonialny. Takowy znajdował się na sąsiedniej ulicy Dominikańskiej, obok stojącej tam synagogi. Ten dyskont prowadził polski kupiec, ale i w kilku sklepach dawnej dzielnicy żydowskiej Poznania, której naznaczone bóżnicami i starymi kamienicami resztki ciągnęły się aż po ulice Solną i Babińskiego, można było kupić produkty egzotyczne. Była herbata z Chin, kawa z Brazylii, cytrusy z Indii Holenderskich czy tytoń i cygara z Karaibów, ale nie pachniało tam tak, jak w sklepie Feliksa Pomorskiego.

Gwoli ścisłości był to jeden z jego dwóch sklepów, bo drugi ten przedsiębiorca otworzył zaraz po wojnie przy ulicy Strzeleckiej. Teraz powiadano, że rozważa uruchomienie kolejnych, które miałyby stanąć przy ulicy Święty Marcin, na rynku Jeżyckim oraz na Łazarzu, bliżej Targów Poznańskich, aby mieli do niego dostęp klienci zamiejscowi.

W sklepie przy ulicy Szewskiej już od wejścia czuło się zapach cynamonu, o którym Pomorski mówił, że sprowadza go z Anglii, ze sklepów samego sir Thomasa Liptona, sędziwego już i najbardziej znanego w świecie importera cejlońskiej herbaty. Pijała ją ponoć królowa Wiktorja, dosypując do niej właśnie szczyptę tej przyprawy. Cynamon u Pomorskiego też był cejloński.

Po nim do klientów docierała słodka woń wanilii z Madagaskaru oraz gotowanego w garneczkach karmelu i kajmaku z gęstej śmietanki,

a także sproszkowanego kakao ze Złotego Wybrzeża. Z cynamonu, wanilii i kakao Feliks Pomorski sporządzał łakocie, z których słynął w całej Polsce. Szyld głosił, że mają w sprzedaży sto osiemnaście rodzajów słodczy, na przykład cukierki marcepanowe, czekoladki koniakowe, czekoladowe draże, nadziane pomarańczową skórką delikacje czy smakołyki w kształcie muszelki, bardzo chętnie kupowane przez poznaniaków jako ozdoby. Takie, które jednak jako dekoracja zbyt długo przetrwać nie mogły.

Prawdziwy specjał krył się jednak w wielkich skrzynkach, które stały na półkach sklepu. Były w nich poukładane prostokątne cukierki, które z czasem coraz bardziej twardniały, gdy krystalizował się i krzepł zawarty w nich cukier. Jedni je lubili, gdy były jeszcze miękkimi, ciągnącymi się mordoklejkami. Inni czekali, aż stwardnieją i skruszeją, by słodka skorupka przykryła miękkie, na wpół płynne wnętrze.

Elegancka kobieta w futrzanej czapce wyjęła dłonie z muffki i rozpoczęła zakupy. Wzbudziła tym samym zainteresowanie nie tylko sklepowej klienteli, ale i komisarza Maciejewskiego. Tak wytworne damy rzadko same udawały się po zakupy do sklepów z frykasami. Jej obecność tu mogła stać się przyczyną towarzyskiej obmowy i posądzeń o łakomstwo. Ta klientka jednak raczej na to nie zważała. Starannie zapakowane prostokątne cukierki ujęła w dłonie i ułożyła w koszu dziecięcego wózka, w którym spało niemowlę.

– Uprzejmie dziękuję – powiedziała i ruszyła do wyjścia.

– Cała przyjemność po naszej stronie. Polecamy się – odpowiedział, kłaniając się, subiekt.

Gdy dzwoneczek przy drzwiach sklepu ucichł, Stanisław Maciejewski wrócił do przerwanej rozmowy z właścicielem. Naprzeciw niego, w fotelu z welurowym obiciem, siedział sam Feliks Pomorski,



Dyplom dla Feliksa Pomorskiego, ze zb. firmy L. Pomorski i Syn sp. z o.o.



Kawiarnia w budynku Arkadii na pl. Wolności, ze zb. Biblioteki Uniwersyteckiej w Poznaniu (dalej: BUP)

odziany w prążkowany garnitur. Maciejewski wiedział, że słynny cukiernik często bywa w swoim sklepie, a zdarza się, że i osobiście obsługuje klientów, co ci bardzo sobie cenili. Jego ugościł filiżanką gorącej czekolady i pralinkami.

W tych warunkach nie rozmawiało się zbyt dobrze, bo powonienie i wzrok sugerowały, by skupić się na czym innym.

– Obawiam się, że nie mamy innego wyjścia – mówił komisarz Maciejewski. – W pełni rozumiejąc, jak istotne są dla interesów fluktuacje rynku, musimy uczynić wszystko, aby je ukrócić. Pan rozumie, że to dla dobra wspólnego...

Pomorski wyglądał, jakby rozumiał, co jednak nie oznaczało, że tę myśl popiera.

– To decyzja prezydenta Ratajskiego? – zapytał, mrużąc oczy.

– W rzeczy samej – przyznał komisarz.

– Czy jednak postępuje zgodnie z prawem? O ile wiem, decyzja prezydenta Rzeczypospolitej sprzed roku pozwala organom magistratu podejmować działania jedynie w sprawach wyraźnie im przekazanych – odparł, starając się przy tym zaimponować rozmówcy znajomością przepisów.

Maciejewski chrząknął, jakby pralinka stanęła mu w gardle.

– W istocie, tak właśnie jest – przyznał i dodał: – Jednakże zgodnie z rozporządzeniem, które pan przywołał, dano nam kompetencje co do regulacji cen żywności w okresie wystawy w Poznaniu. A słodka galanteria do niej się zalicza.

Na to Pomorski pokręcił z niedowierzaniem głową. Nie kwestionował jednak klasyfikacji jego towaru.

– Takie rzeczy jeszcze niedawno byłyby nie do pomyślenia w Rzeczypospolitej, w której kupiectwo i wolny handel zawsze stanowiły

podstawę rozwoju. Nie zamierzałem podnosić cen, bo zadowolenie mej klienteli jest dla mnie zawsze najwyższym nakazem, także zadowolenie z cen, ale chodzi o pryncypia. O to, by nas w Poznaniu nie posądzono o bolszewię – rzekł i skinął na swego pracownika. Następnie zwrócił się do Maciejewskiego z pytaniem: – Czy szanowny pan napije się jeszcze czekolady? To meksykańska. Przygotowana po aztecku, ze szczyptą pikanterii – wyjaśnił właściciel.

– Wobec tego nie odmówię – odparł komisarz, gdyż odmowa byłaby ponad jego siły.

Po kilku łykach spienionej czekolady rozmowa potoczyła się w miłej atmosferze.

– Reżimów żadnych w Poznaniu stosować nie zamierzamy – mówił Maciejewski. – Pragnę jedynie zwrócić pańską łaskawą uwagę na to, że wobec sytuacji nadzwyczajnej prawidła rynkowe przestają obowiązywać. Wówczas dopiero i tylko wtedy ze swymi regulacjami wkracza organ administracyjny.

– Proszę jednak pamiętać, że mamy teraz sytuację nadzwyczajną. O tu, za oknem. – Pomorski wskazał na okno sklepu. Cała ulica Szewska przykryta była śniegiem, który wciąż padał. – Na dostawy czekam już przeszło tydzień, bo pociągi przymarzły do torów, a statki stoją na redzie w długich kolejkach. Nasz nowiutki port w Gdyni ledwo się wyrabia, a Niemcy w Gdańsku za fracht liczą sobie słono. Liczyłem bardzo na naszą Ligę Morską i Rzeczną i zwodowany przez nią statek SS „Poznań”, który jako pierwsza jednostka pod polską banderą niebawem miał popłynąć do Afryki Zachodniej. Zakładałem, że dostarczy mi stamtąd cukier trzcinowy, kakao, wanilię i tropikalne orzechy. Niestety, nic z tego. Nie sposób teraz żeglować po Bałtyku, więc z pierwszej polskiej wyprawy do Afryki nici. Rozumie pan zatem, że tak

ciężka zima musi zmienić ceny surowców, a co za tym idzie, zmienić także stawki w detalu – zauważył z handlowym zacięciem Pomorski.

– Rozumiem te komplikacje. Mróz pokrzyżował plany wszystkich przygotowań do Powszechnej Wystawy Krajowej. Musieliśmy sprowadzić dla robotników specjalne ogrzewanie i piece, a i to nie pomaga. Wiele prac idzie bardzo wolno – wyjaśniał wysłannik magistratu.

– Nie chciałbym być grubiański, panie komisarzu, ale to jednak chyba nie moje zmartwienie.

– Myli się szanowny pan, to zmartwienie nas wszystkich. W tym rzecz, aby uświadomić każdemu, jak bardzo ważna jest ta wystawa i jak może zmienić nasze życie – odpowiedział stanowczo Maciejewski.

– Wystawa? To przecież jedynie wielka witryna sklepowa, nieprawdaż? – Pomorski upił nieco ciepłej czekolady.

– Nie tylko, szanowny panie. To przedsięwzięcie jest czymś znacznie poważniejszym – odparł komisarz. – Raczy pan zwrócić uwagę, że Poznań zyskał prawo do jej przeprowadzenia przed wszystkimi innymi miastami w Polsce, zarówno Lwowem, jak i Warszawą.

– Istotnie, to mnie zaskakuje. Że też stołeczne władze się na to zgodziły!

Komisarz pamiętał doskonale, że pomysł, by w Poznaniu organizować targi i wystawy, Związek Towarzystw Kupieckich zgłosił jeszcze przed powstaniem, gdy wciąż trwała wojna. To miała być polska impreza targowa, taka na wzór wielkich Targów Lipskich. W roku 1921 udało się przeprowadzić pierwszy Targ Poznański, potem kolejne, a od kilku lat brali w tym wydarzeniu udział wystawcy z zagranicy, z sąsiednich Czechosłowacji, Rumunii, Łotwy i Niemiec, ale ostatnio pojawiały się również firmy z Francji, Szwajcarii czy Szwecji. Skoro one mogły pokazywać swoje osiągnięcia na terenach targowych,

to dlaczego nie mieliby tego robić sami Polacy? Pomysł wielkiej wystawy uważał za pierwszorzędny.

– A nie powinno zaskakiwać, nasze miasto jak żadne inne jest gotowe takie wyzwanie przyjąć – odparł. – W Warszawie wystawa mogłaby się odbyć, ale dopiero w roku trzydziestym piątym. To za późno. Za to w Poznaniu znajdują się gotowe tereny i działające od lat instytucje targowe, jakich nie ma nigdzie indziej w Rzeczypospolitej. Owszem, to pozostałości poniemieckie, po organizowanej tu w jedenastym roku wielkiej Wystawie Wschodnioniemieckiej. Nie szkodzi jednak, my jesteśmy praktyczni. Zamiast ją demontować, możemy ją wykorzystać.

– Słyszałem o Wystawie Wschodnioniemieckiej. To był pokaz siły, prawda? – powiedział spokojnie cukiernik, który do stolicy Wielkopolski przybył spod Konina, a większość życia spędził na Kresach i po wojnie z bolszewikami przywiózł do Poznania wschodnie przepisy na łakocie, by zastosować je w swoich sklepach.

– Raczej zaprezentowanie osiągnięć, tego, jak bardzo Niemcy rozwinięli cywilizacyjnie swoje rubieże, a zatem także Poznań i Wielkopolskę. Chcieli pokazać, że bez ich wkładu żylibyśmy tu pewnie w jakichś ziemiankach, jak w zamorskich koloniach. To chcieli wykazać.

– I udało im się?

Komisarz żywnościowy chwilę milczał, nie wiedząc, jak właściwie na to odpowiedzieć. Zamiast odpowiedzi wprost wybrał inny wątek.

– Teraz pora na nas, szanowny panie. Tu już nie ma Niemców, jest odrodzone państwo polskie i zadaniem tej wystawy jest o tym przypomnieć – mówił. – Minęło dziesięć lat, odkąd odzyskaliśmy niepodległość. Zdaniem wielu powinniśmy już dawno polec w nieudolności zarządzania. Takie były przecież przewidywania po roku osiemnastym, prawda? Także niemieckie. Tymczasem Polska nie tylko istnieje, ale się rozwija.